

PIĘKA NOŻNA

Wykorzystał swój gniew

Nigdy nie wygrał Ligi Mistrzów ani nie zdobył Złotej Piłki, ale i tak uważał się za najlepszego. Zlatan Ibrahimović w wieku 41 lat zakończył karierę.

TOMASZ WACŁAWEK

„Godbye” – specjalna oprawa przygotowana przez kibiców Milanu nie pozostawiła wątpliwości, że odchodzi ktoś wyjątkowy. Piłkarski bóg, jak zwykli o sobie sądzić Ibrahimović.

Miał wybujałe ego, imponował pewnością siebie, wydawał się twardzielem, którego nie da się złamać, ale nawet jemu napłynęły do oczu łzy, gdy dostał pożegnalną owację.

Może przypomni sobie, jak zaczynał karierę, grając w butach kupionych w supermarkecie za 59 koron. I jak wracając do domu, z duszą na ramieniu miał przejście podziemne, na którym widniał napis: „Możesz wyciągnąć człowieka z getta, ale nigdy getto z człowieka”.

Filozof i ferrari

Urodził się w rodzinie imigrantów z Bałkanów (ojciec Bośniak, matka Chorwatka), wychował na przedmieściach Malmö. Był inny od rówieśników, więc musiał znosić szyderstwa. I krytykę trenerów.

Kiedy bawił się z dziećmi z klasy średniej, czuł się gorszy, bo nosił niemodne ubrania i nie miał pieniędzy. Postanowił więc: „Pewnego dnia im pokażę!”. To stało się motywacją – tłumaczył David Lagercrantz, autor „Ja, Ibra. Moja historia”. – Kompleks to najlepsze słowo opisujące Zlatana. Z jednej strony jest silnym typem wojownika, który wiedział, że musi być twardy, aby przeżyć. Ale inna jego część jest wrażliwa. To facet zraniony przez wychowanie, który wykorzystuje to, by stworzyć siłę. Na jego miejscu 99 osób na 100 by się poddało, ale on wykorzystał gniew, by stać się lepszym. Powiedział mi: „David, muszę być zły, żeby dobrze grać”.

Zacisnął zęby i postanowił udowodnić, że chłopak z rozbitej rodziny może dojść na szczyt. Trenował taekwondo, co pomogło mu zdobywać później widowiskowe bramki, ale to futbol dał mu szansę na lepsze życie.

– Bez adrenaliny i złości jestem bezwartościowy. Jeśli



Zlatan Ibrahimović bywał na boisku bohaterem kina akcji

chcesz mnie powstrzymać, musisz mnie zabić – zaznaczał.

Mówił, że ma swój własny styl. Nie bałkański, nie szwedzki, lecz styl Zlatana. O swoich golach opowiadał, że są zbyt efektowne, by można je było odtworzyć w grach wideo. – To, co on robi z piłką, ja mogę zrobić z pomarańczą – zareagował kiedyś na krytykę ze strony Norwega Johna Carew.

Zbudował wokół siebie obłąaną twierdzę. Może dlatego tak dobrze rozumiał się z Jose Mourinho. – Ludzie zazdroszczą nam sukcesów i osobowości – twierdził.

Portugalczyk był jego ulubionym trenerem. Kiedyś powiedział, że byłby gotów oddać za niego życie. Na drugim biegunie znajdował się Pep Guardiola, z którym nie potrafił się dogadać w Barcelonie. – Nie masz jaj! Jestem ferrari, a ty jeżdżisz mną jak fiatem – wypalił podczas kłótni. A potem poszedł do prezesa Joana Laporty z apelem o zwolnienie Hiszpana: – Nie potrzebujemy tutaj tego filozofa. Krasnolud (Leo Messi – przyp. red.) i ja sobie poradzimy.

To jednak Guardiola został rok później świętował triumf w Lidze Mistrzów. Ibrahimovićowi ta szansa przeszła koło nosa. Wybrał Milan, a potem szukał szczęścia w Paris Saint-Germain. Honory, z jakimi go przyjmowano, lechtały ego.

– Wierzysz w Boga? – zapytał ówczesnego trenera Carlo Ancelottiego. – No to wierzysz we mnie.

Gdy cztery lata później opuszczał Paryż, sięgając we Francji po wszystkie możliwe trofea, opowiadał: „Przybyłem jako król, odchodzę jako legenda”. I dodał, że jest gotów zostać, jeśli wieżę Eiffla zastąpią jego pomnikami.

Jak Benjamin Button

Francję zamienił na Anglię. Po przeprowadzce do Manchesteru stwierdził, że potrzebuje nowych hejterów, bo starzy zostali jego fanami. Ligi Mistrzów znów nie wygrał, ale triumfował w Lidze Europy. I polecał krzycić futbol w USA. – Gdybym przybył tu dziesięć lat wcześniej, dziś byłbym sięm prezydentem. Chcieliście Zlatana, to go dostaliście. A teraz wróćcie do oglądania baseballu – rzucił do Amerykanów, odchodząc w 2019 roku z Los Angeles Galaxy.

Nigdy nie zdobył Złotej Piłki i tytułu gracza roku FIFA, ale zawsze czuł się numerem jeden. Zdarzało mu się mówić, że jest największym, po Muhammadzie Alim.

Kiedy w plebiscycie na szwedzkiego sportowca wszedł w szereg przegrał z Björnem Borgiem – mistrzem tenisa, zwycięzcą 11 turniejów wielkoszlemowych, oznajmił: – Na tej liście powinienem zająć miejsca pierwsze, drugie, trzecie, czwarte i piąte.

Pewnie by wygrał, gdyby wprowadził Szwecję do medalu na dużym turnieju. Był na

dwóch mundialach (2002, 2006) i czterech Euro (2004–2016), ale tylko raz dotarł do ćwierćfinału i w dodatku zmarnował jedenastkę w konkursie rzutów karnych (2004).

Jego odejście to koniec pewnej epoki. Strzelił ponad 500 goli, zdobył tytuły mistrzowskie w czterech krajach – pięć we Włoszech (Inter, Milan), cztery we Francji (PSG), dwa w Holandii (Ajax Amsterdam) i jeden w Hiszpanii (Barcelona).

– Czuję się jak Benjamin Button. Urodziłem się stary i umrę młodo – powtarzał. Czasu jednak nie oszukał. W ubiegłym roku przeszedł operację kolana, potem zmagając się z kontuzjami uda i łydki. Zagrał w tym sezonie tylko w czterech meczach ligowych – w tym trzykrotnie wchodził z ławki – i zdobył jedną bramkę. Była jednak wyjątkowa – w wieku 41 lat i 166 dni został najstarszym strzelcem w historii Serie A.

Miał oferty z innych klubów, ale nie chciał dłużej siedzieć na ławce i odcinać kuponów od sławy. Przyznał, że nadszedł dobry moment, by rozpocząć nowy rozdział w życiu.

– Za pierwszym razem, gdy tu przyjechałem, obdarzyliście mnie szczęściem, za drugim – miłością. Zegnam się z piłką, ale nie z wami – złożył obietnicę kibicom Milanu.

Odszedł na własnych warunkach. A do dziennikarzy rzucił na pożegnanie: O kim będziecie teraz pisać? /©©

ZONGLERKA

Stefan Szczepłęk

rp.pl/sport



Nawarzone piwo

Michał Listkiewicz opowiadał kilka dni temu, że kiedy na rodzinnej działce zapytał syna, czy ma piwo, dobre na upał, usłyszał w odpowiedzi: dla tały tak, ja będę mógł się napić dopiero po 10 czerwca.

Ojciec był dumny, ale przypomniał, że kiedy on sędziował mecze, obyczaj w Polsce były zupełnie inne. Picie należało do dobrego tonu. Każdy szanujący się sędzia nosił w torbie buty, kostium i butelkę. A jak nie on, to któryś z sędziów liniowych. Od nich wymagał też umiejętności prowadzenia samochodu, bo ktoś zmęczony arbitra musiał dostarczyć do domu.

Zdarzało się, że sędziowie ligowi balowali w noc poprzedzającą mecz, bo gospodarze gwarantowali rozmaite atrakcje, z panienkami włącznie. „Fryzjer” rozwinął ten rodzaj usług alkoholowo-erotycznych.

Sędzia nie ryzykował, bo zazwyczaj wynik meczu i tak był ustalony wcześniej. On miał tylko swoją obecnością na boisku poświadczyć pozory uczciwości. Zdarzało się, że sędziowie nie potrafili biegać nawet na trzeźwo, więc podczas egzaminów tych, którzy mieli koneksje, donoszono do mety. Potem po znajomości zostawali sędziami międzynarodowymi, a za granicą często nie potrafili się dogadać.

Trudno powiedzieć, co stanowiło przełom w obyczajach, ale Szymon Marciniak jest przedstawicielem nowych czasów. Rzadko odbiera telefon, bo albo jest na treningu, albo ogląda jakiś mecz. Dba o kondycję, nie pije, nie pali, potrafi porozmawiać w kilku językach. I ma niezwykle talent pozwalający na błyskawiczną ocenę sytuacji na boisku. A ponieważ rzadko się myli oraz jest stanowczy, zyskał szacunek i uznanie największych gwiazd futbolu.

To, w jaki sposób z Tomaszem Listkiewiczem i Pawłem Sokolnickim na liniach poprowadził finał mundialu, daje mu stałe miejsce w historii futbolu. Takiego poziomu nie osiągnął żaden polski piłkarz, tylko sędzia z wsi pod Płockiem.

Wracającego z Kataru Marciniaka witała grupa kibiców, zwykle czekająca na piłkarzy. Ledwie przyleciał, a już odleciał. Zaczęły się zaproszenia, z których korzystał między innymi w Polsce i Arabii Saudyjskiej. Gdyby go zaproszono do „Tańca z gwiazdami” lub kazano smażyć jajecznicę z Magdą Gessler, też by poszedł. Pewnie na podobnej zasadzie zgodził się na udział w konferencji nacjonalistycznej partii.

Skoro dziś odżegnuje się od jakichkolwiek z nią związków i brzydzi programem, to dlaczego poszedł? Nie wiedział, gdzie idzie? Dawali dobre pieniądze? Więcej stracił, niż zyskał.

Gdyby UEFA pozbawiła Marciniaka możliwości prowadzenia finału Ligi Mistrzów, rykoszetem dostaliby też Listkiewicz

i Sokolnicki. Szczęśliwie tak się nie stało. Najważniejszy mecz sezonu powinni prowadzić najlepsi. Tyle że główny rozpocznie go z żółtą kartką, jak piłkarz, który popełnił niemądry faul w środku boiska, kiedy wynik był już ustalony. Wiadomo, jak się gra z takim obciążeniem. A jak się sędziuje?

Jest w tej pouczającej historii coś jeszcze. Wielu atakuje Stowarzyszenie „Nigdy Więcej”, które o sprawie Marciniaka rzekomo poinformowało UEFA. Można odnieść wrażenie, że to ono jest winne, bo przecież złożyło „donos na Polaka”. Tyle że nie domagało się odsunięcia Marciniaka, lecz jedynie zasygnalizowało problem.

Stowarzyszenie właśnie od tego jest, tym bardziej że współpracuje z UEFA i FARE (Futbol Przeciw Rasizmowi w Europie). Tropi od lat rasistowskie, ksenofobiczne i neofaszystowskie zachowania na stadionach, a więc to wszystko, z czym wiązany jest Sławomir Mentzen, którego partii sędzia z emblematem FIFA na koszulce dał twarz.

To kibole narodowcy zbierali pod stadionami podpisy mające pomóc Grzegorzowi Braunowi wygrać wybory prezydenckie. To oni tworzą bojówki atakujące osoby LGBT i protestujące na marszach

Szymon Marciniak powinien być bezstronnym sędzią także poza boiskiem

kobiety. To oni biorą udział w aktach dyskryminacji kolorowych piłkarzy na polskich boiskach.

Marciniak powinien wiedzieć, kto go zaprasza, i odmówić. Ze swoją pozycją nie może sobie pozwolić na to, by kojarzono go z jakimkolwiek ugrupowaniem politycznym. Jego poglądy powinny pozostać nieznanne. Ma być bezstronnym sędzią także poza boiskiem.

Nasz arbiter na swój sposób stał się w tej sytuacji ofiarą, wykorzystał go cyniczny polityk. A ponieważ polityka tego może się stać koalicjantem PiS, to nawet minister Kamil Bortniczuk wstawił się za Marciniakiem, choć oczywiście nie tylko on.

Apel Bortniczuka raczej nie wywarł w Nyonie wrażenia, bo nikt go tam nie zna. Pomógł wiceprezes UEFA Zbigniew Boniek. Zadzwoił do kolegów: przewodniczącego UEFA Aleksandra Ceferina, odpowiedzialnego za profesjonalny futbol Zvonimira Bobana i szefa sędziów Roberto Rosettiego. Zalał sprawę w kwadrans.

Zacząłem od alkoholu w środowisku piłkarskim. Dawniej wielu jego przedstawicieli robiło różne głupoty po pijaku. Dziś zdarza im się to na trzeźwo. /©©

KORESPONDENCJA Z PARYŻA

Spotkanie kobiet z dwóch światów

Wtorkowy mecz Białorusinki Aryny Sabalenki z Ukrainką Eliną Switoliną to w turnieju Roland Garros gra o coś więcej niż wielkoszlemowy półfinał.

MIROSLAW ŻUKOWSKI

Tym bardziej że Francuska Federacja Tenisowa do wojennego kontekstu tego spotkania dołożyła swoje trzy grosze, do absurdu dbając o bógostan Białorusinki. Gospodarze turnieju pozwalają Sabalence, obawiającej się pytań o wojnę, na unikanie kontaktów z mediami, co wzbudza coraz więcej kontrowersji. Szczególnie wśród tych, którzy pamiętają, jak dwa lata temu potraktowała Naomi Osakę.

Japonka też mówiła, że pytania dziennikarzy burzą jej psychiczny spokój, ale zrozumienia się nie doczekała. Najpierw ukarano ją finansowo, a potem Osaka się z turnieju wycofała. W porównaniu z tym przed Sabalencą rozścielono czerwony dywan godny festiwalu w Cannes.

Po zwycięskim meczu z Amerykanką Sloane Stephens Białorusinka spotkała się jedynie z wybranym pracownikiem WTA i odpowiedziała na jego pytania. O mecz ze Switoliną też, ale bez żadnego pozatenisowego kontekstu.

Ciekawe, jak długo to potrwa, szczególnie jeśli Sabalenka będzie wygrywała. A wszystko na to wskazuje, choć

w meczu ze Stephens, gdy Amerykanka w pierwszym secie ze stanu 0:5 doprowadziła do tie-breaka, zobaczyliśmy dawną Sabalenkę – psującą na potęgę i coraz bardziej złą na siebie, czego Stephens nie potrafiła wykorzystać.

Za jedno organizatorzy jednak powinni być Amerykance wdzięczni, bo gdy po niespełna dwudziestu minutach było 5:0, kibice krzykali „Amelie, oddaj pieniądze”.

Dyrektorka turnieju Amelie Mauresmo, która pierwszy raz w sesji wieczornej umieściła mecz kobiet, zapewne do śmiechu wówczas nie było (we wtorek wieczorem zagrają już Carlos Alcaraz ze Stefanosem Tsitsipasem).

Switolina podczas wszystkich swoich spotkań jest wspierana przez francuską publiczność, ale chyba bardziej jako żona Gaëla Monfilsa i matka wracająca do sportu po porodzie niż liderka ukraińskiej sprawy w środowisku tenisowym.

W jej pojedynku z Sabalencą więcej sportowych argumentów jest po stronie Białorusinki, tym bardziej że jej mentalnego spokoju z takim uporem bronią Francuzi. Mecz ten odbędzie się jako drugi na korcie Philippe-Chatrier. Początek gier o godz. 11.00.

Iga Świątek mecz 1/8 finału z Ukrainką Esią Curenko rozegrała po zamknięciu tego wydania gazety. /©©